

K O B R A

ZE WSPÓLCZESNOŚCI Z AMBICJAMI

W WARSZAWSKICH „Rozmaitościach” przy ul. Marszałkowskiej idzie sztuka Zbigniewa Saffjana „Strzeżcie się złodziei” — „filozoficzny reportaż z naszego życia”, jak pisze Witold Filler we wstępie zamieszczonym w programie. Byłam, widziałam, doceniłam filozoficzne intencje autora, zręczność piszącego „reklamową notkę na skrzydełku” oraz wkład pracy tej stosunkowo mało reprezentatywnej, co tu dużo mówić, sceny teatru „Klasycznego”, jaką są „Rozmaitości”. Spektakl nasunął mi kilka uwag, jak myślę, ogólniejszej natury, niż te, które mogłyby zostać odczytane (wbrew moim intencjom) jako próba zakusów na autora znanej telewizyjnej „Stawki” — duchowego ojca kapitana Kłossa; jako przyczki pod adresem cenionego przeze mnie teatru, czy nawet, do pewnego stopnia zrozumiałego tonu publikacji zalecającej „towar” widzowi. Po prostu „Strzeżcie się złodziei” wydaje mi się sztuką w nie najlepszym sensie znamiennej — sygnalizującą etap, w jakim się znalazła nieustająca debata nad rodzimą dramaturgią współczesną z jednej strony; z drugiej — będąca przykładem skutków zbyt powierzchownego rozumienia postulatów wysuwanych pod adresem tej dramaturgii. Sygnałem ilustrującym, jak wynikiem niedostatecznego przetrawienia tego, co się określa jako „społeczne zapotrzebowanie na sztukę współczesną”, stać się może kompozycja publicystycznych powszechników na współczesny temat. Trzeba przyznać, że jeśli idzie o „Strzeżcie się złodziei” jest to kompozycja skonstruowana zręcznie; nie darmo mamy do czynienia z autorem najpierw Teatru Sensacji, później serii z dreszczem. Rzecz w tym, że sztuka ta nie spełnia oczekiwań, jakie zapowiada jej ambitny, problemowy początek. Ze rozbudziwszy apetyty widza przez postawienie ważkiego moralnego problemu, i to problemu o charakterze społecznym (bo takim jest niewątpliwie rozprzeźwienie się postaw małomieszkańskich w różnych — także najmniej do tego „predestynowanych” warstwach naszego społeczeństwa), w pewnym, najmniej oczekiwanym momencie dryfuje w stronę rozrywki czystej, ba, o sensacyjnym posmaku, właśnie w stronę „Kobry” z trupem w komórce. W sferze zapowiadanej refleksji moralnej autor każe się zadowolić widzowi ogólnikiem typu „nikt nie ma czystych rąk”. Konkluzja ta, w sytuacji ambitnie zamierzonego punktu wyjścia, jest niczym innym, niż autorskim „umyciem rąk”. Być może, w tym konkretnym wypadku poniosła Saffjana sensacyjna, Stawkowo - Kłossowa żyłka... Niebezpieczeństwo stojące przed naszą dramaturgią współczesną, o jakim myślę, bierze się z pokus, jakie niewątpliwie zawiera

w sobie ułatwiona postawa nominalnej, nie wytrzymującej do końca swych obietnic „odpowiedzi” na społeczne zapotrzebowanie. Na sztukę traktującą o problemach otaczających nas życia.

Jaki jest temat „Strzeżcie się złodziei”? Działacz, zasłużony i zasobny, wyprawia „oblewanie” swojej nowej willi. Wielkie musiały być zasługi owego Działacza, podejmującego aktualnie doborowe towarzystwo: Prezesa, Dyrektora z żoną, Literata i „chłopaka” swojej córki Wiki oraz grzecznego Małeckiego „do usług”, który według własnych słów „jest niczym”, przynajmniej na razie, ponieważ karierę robi się „pnąc się po stopniach, a nie podskakując”... Pomijając nawet problem, skąd Działacz wziął pieniądze na ową willę i jej wzorowane na najmodniejszy zachodni standard urządzenie; zakładając, że jego praca i zasługi zostały przyzwoicie, stosownie do ich wartości nagrodzone — tu właśnie zaczynałby się problem. Dramat wartości mniej wymiernych niż luksusowa nieruchomości i jej wystrój — dramat postaw. Metodą reportażu z codzienności Saffjan znakomicie obnaża te postawy. Sylwetki psychiczne Literata, Dyrektora, Prezesa, całego tego towarzystwa wzajemnych umizgów, które wzajemnie siebie ocenia według stanu posiadania, są znakomitą punktem wyjścia do takiego dramatu — podstawą społecznego prestiżu w tym miłym kółku stały się whisky, algierskie puffy, barek na kółkach i abażury z frezdlą z końca ubiegłego stulecia — kryteria drobnomieszkańskiego stosunku do życia w stanie czystym, jeśli stają się kryteriami najwyższymi. Oczywiście, żadna ze zgromadzonych w ślicznej willi osób nie przyznaje się otwarcie do tego systemu klasyfikacji, są one na to zbyt inteligentne. Z wyjątkiem może żony Dyrektora, no, ale ta pani jest w ogóle zadziorna, i na dodatek trochę za dużo wypila. (I, oczywiście, Małeckiego, ale ten przecież się „nie liczy”). Do czasu, dokąd jego status posiadania nie będzie się zbliżał do statusu tamtych? Tymczasem w którymś, najmniej oczekiwanym momencie, Saffjan zmienia realistyczną reportażową konwencję i wprowadza postać Złodzieja, na wpół z imaginations, na wpół z baśni Jakiegoś niby-diabła, jakiegoś niby - sumienie, które każdemu szepcze coś do ucha, terroryzując z miejsca całe towarzystwo. Problemowi ukreca się głowę. Jeżeli bowiem prawdą jest, że „każdy ma coś na sumieniu”, to na pewno w kontekście takiego początku, prawda owa brzmi jak banał, albo jak unik. Do końca nie wiadomo, co mianowicie każdy ma na sumieniu. (Z wyjątkiem Małeckiego, oczywiście, który jest „czysty”). Sztuka steruje w kierunku dosyć ogólnej, poetycko-filozoficznej powiastki, nim autor wykona jesz-

cze jedną wolę, tym razem w stronę sensacji. A tu musimy się znaleźć miejsce i na trupa... Zamordowanym okazuje się Złodziej, zabójcą zaś, kto? Oczywiście, Małecki, wyprowadzono nas w pole po raz drugi. W istocie ma rację Witold Filler w programie, podsuwając jako jedną z interpretacji sztuki tezę następującą: „strzeżcie się Małeckich”. Chyba nieco wbrew intencjom autora Małecki, ta ludzka glista, nieoczekiwanie urasta do roli przewrotnego szwarc-charakteru, nieledwie bohatera! W rezultacie sztukę Saffjana odbiera się jako straconą szansę tematu. Tak jakby autor nie chciał wziąć na własny rachunek żadnego stanowiska, zadowolając się rzeczą dobrze skrojoną. Sztuką poprawną, w niejednakowy sposób trzymającą w napięciu. Sztuką, w gruncie rzeczy „mało realistyczną”.

Od pewnego czasu daje się zauważyć zmiana w nastawieniu naszych teatrów do dorobku polskich autorów współczesnych. Wydaje mi się, że przynajmniej po części jest to skutek wytrwałych utyskiwań krytyki na niedostatki naszej dramaturgii. Jeżeli bowiem alarm swojego czasu został podniesiony, przy okazji zalewu adaptacji, zaś teatry broniły się, że w sytuacji nieistnienia dramatów współczesnych są one (adaptacje) złem koniecznym, to druga strona medalu wyglądała w ten sposób, że istotnie długo po macoszemu trakto-

wano rodzimych autorów, nie będących Różewiczem albo Mrożkiem. Lecz później zaczęły się pojawiać na naszych scenach sztuki Abramowa, Bordowicza, Choińskiego, Gawlika, Liskowackiego, Grochowiaka, Iredyńskiego, w pewnym sensie Kanickiego, i wielu innych. W etap dramaturgiczny swojej twórczości wszedł Bryll, zwycięsko, chociaż bynajmniej nie bez kontrowersji. Z owego rozmnożenia nazwisk można się tylko cieszyć. Aliści pojawia się na horyzoncie nowe, szkodliwe w skutkach, niebezpieczeństwo: „mały realizm”, w wypadku teatru wykładający się jako zręcznie podany naturalizm. Na pewno legitymujący się żywością spostrzeżeń, humorem obserwacyjnym i sytuacyjnym, na pewno mający wiele teatralnych zalet. A jednak wymijający te pytania, których chociażby postawienia pragniemy wszyscy. „Jeżeli oczekiwaliście czegoś więcej, niż historii o osiedlinach w pewnej willi — wybaczcie błędy autorowi” — pisze w programie omawianej sztuki Zbigniew Saffjan. Czy naprawdę powinniśmy się zadowalać utworami, które chcą być jedynie „historiami o czymś”?

BARBARA KAZIMIERCZYK

Zbigniew Saffjan, „Strzeżcie się złodziei” sztuka w 3 aktach. Teatr „Rozmaitości”, reż. Irma Czaykaska, scen. Jerzy Ławacz.



Agnieszka Fitkau-Perepeczko i Jerzy Kozakiewicz w jednej ze scen sztuki Z. Saffjana „Strzeżcie się złodziei”
FOT. WITOLD NOWAK